

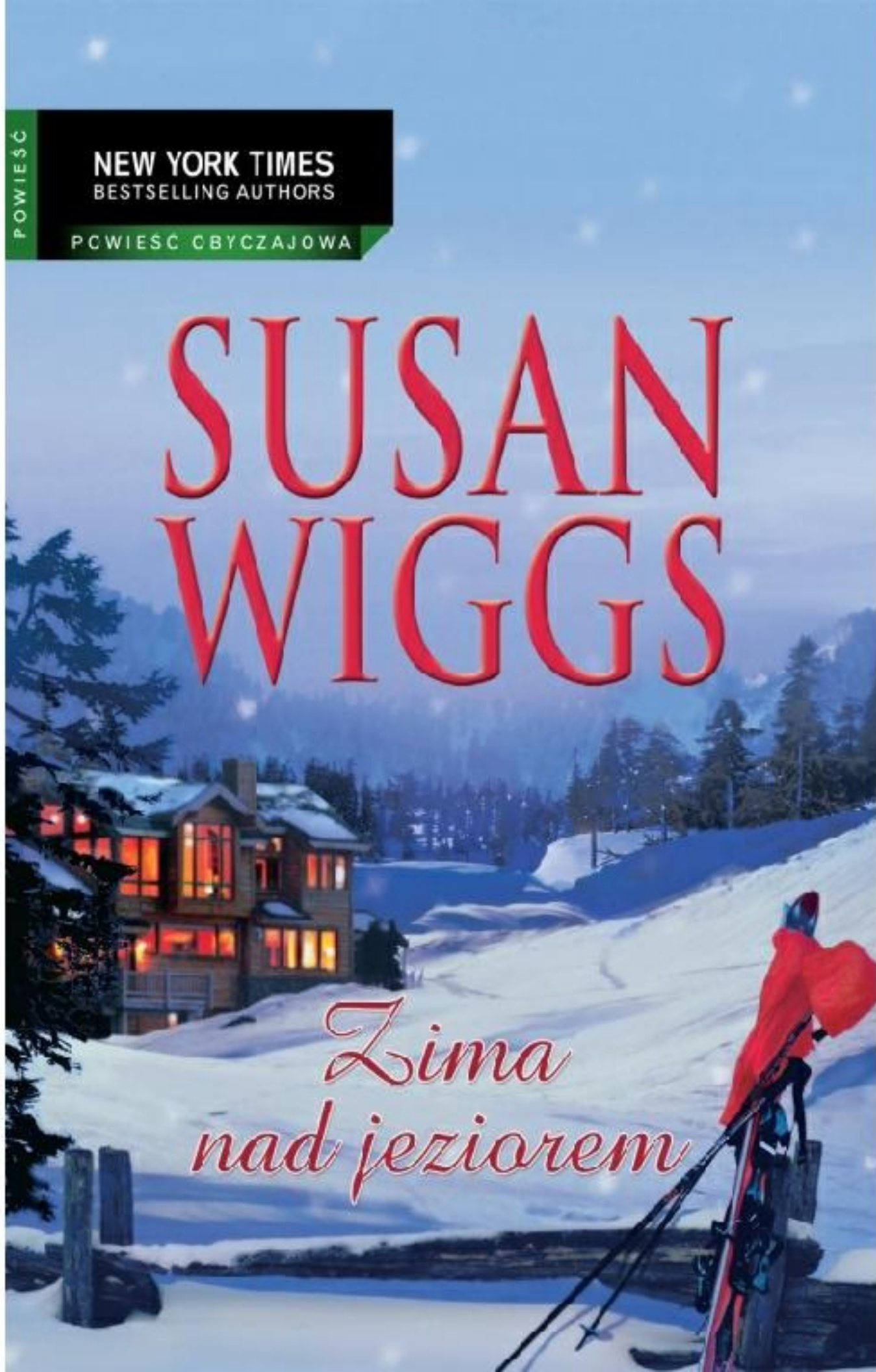
POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

SUSAN WIGGS

*Zima
nad jeziorem*



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Susan Wiggs

Zima nad jeziorem

Pamięci moich dziadków, Anny i Nicholasa Klistów

Jenny Majesky

Pokarm dla duszy

SŁODKIE BUŁECZKI DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Zadziwiające, jak wielu piekarzy obawia się drożdży. Gdy tylko przeczytają, że wchodzi w skład ciasta, natychmiast przewracają stronę książki kucharskiej. Ja nie widzę powodów do obaw. Opisane poniżej ciasto jest łatwe w przygotowaniu, elastyczne i sprężyste. Każdy, kto je zrobi, poczuje się mistrzem. Moja babcia, Helen Majesky, zwykła mawiać: „Podczas pieczenia, tak jak w życiu, umiemy znacznie więcej, niż sobie uświadamiamy”.

SŁODKIE BUŁECZKI

- 1 łyżka cukru
- 2 paczki drożdży
- 1/2 filiżanki ciepłej wody
- 2 filiżanki mleka
- 6 łyżek czystego, niesolonego masła
- 2 łyżeczki soli
- 2 żółtka, lekko ubite
- 1/2 filiżanki cukru
- 6 i 1/4 filiżanki mąki
- 1-1 1/2 kostki stopionego masła

Umieścić drożdże w naczyniu i posypać łyżką cukru. Dodać ciepłej wody. Jak ciepłej? Większość książek kucharskich zaleca temperaturę pomiędzy 40 a 46 stopni C. Doświadczeni kucharze oceniają ją na wycucie, wylewając odrobinę na dłoń. Początkującym radzę jednak skorzystać z termometru. Jeśli użyją zbyt gorącej wody, zabije komórki drożdży.

Podgrzać mleko w małym rondelku, dodać masła i mieszać do stopienia. Po schłodzeniu do temperatury pokojowej wylać do dużej miski. Dodać sól i cukier, następnie wlać cienkim strumieniem ubite żółtka, intensywnie mieszając. Na koniec zmieszać z zaczynem drożdżowym.

Podwinąć rękawy i dodawać po filiżance mąki. Kiedy ciasto zgęstnieje na tyle, że nie można go mieszać łyżką, należy dalej wyrabiać je rękami. Powinno być lepkie i błyszczące. Dodawać mąki i ugniatać do uzyskania połysku, następnie przełożyć do natłuszczonej miski, obracając ją, żeby ciasto pokryło całą powierzchnię. Przykryć wilgotną ściereczką i umieścić w ciepłym, bezwietrznym miejscu. Po godzinie powinno podwoić objętość. Moja babcia robiła w środku zagłębienie za pomocą dwóch umoczonych opuszek palca. Jeśli pozostawało, twierdziła, że ciasto urosło. Oczywiście trzeba je uklepać, żeby wypuścić powietrze. Ciche syczenie świadczy o namnażaniu drożdży.

Odrywać porcje wielkości jajka i formować kulki. Ułożyć na natłuszczonej blasze co kilka centymetrów. Odczekać około 15 minut, aż ponownie urosną, następnie zrobić w każdej bułeczce

kciukiem głęboki dołek na konfiturę. Jej rodzaj od lat stanowi ulubiony przedmiot dyskusji polskich piekarzy. Moja babcia nigdy w nich nie uczestniczyła. „Grunt, żeby smakowało” – mawiała. Napelniała bułeczki łyżką dżemu malinowego, brzoskwiniowego, powidłami śliwkowymi, suszonymi figami lub słodkim serkiem.

W celu zrobienia posypki zmieszać 1/2 filiżanki stopionego masła z filiżanką cukru kryształu, 1/2 filiżanki mąki i łyżeczką cynamonu. Posypać każdą z bułeczek. Ponownie umieścić blachy w ciepłym miejscu, np. na lodówce; bułeczki mają podwoić wielkość, co trwa od 45 minut do 1 godziny. Nagrząć piekarnik do 160-180 stopni i piec. Bułeczki mają mieć złocistobrazowy kolor. Należy uważać, by nie przypalić spodów. Wyjąć z pieca, posmarować stopionym masłem i zdjąć z blachy do ostudzenia. Z podanej ilości składników otrzymujemy około 40 bułeczek.

Moja babcia zawsze powtarzała, żeby nie martwić się tym, że przygotowanie zabiera wiele czasu. Pieczenie to akt miłości, a kto przelicza uczucie na godziny?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jenny Majesky wstała zza biurka, rozprostowała i rozmasowała bolący kręgosłup. Coś – prawdopodobnie martwa cisza pustego domu – obudziło ją o trzeciej nad ranem. Nie zasnęła ponownie. Popracowała trochę nad artykułem do miejscowego tygodnika, siedząc w luźnym szlafroku i kapciach, ale szło jej równie fatalnie jak próba zaśnięcia.

Miała wiele do opowiedzenia. Tylko jak upchać wspomnienia z całego życia wraz z poradami kuchennymi na jednej kolumnie w tygodniu? Właśnie rozmiar gazety najbardziej jej przeszkadzał. Pragnęła więcej, znacznie więcej. Nadeszła pora, żeby wreszcie przystąpić do napisania książki. Niestety, jak każdy pisarz Jenny Majesky wciąż zwlekała, choć wyczerpała wszelkie możliwe wymówki.

Wzięła z porcelanowej miseczki na biurku obrączkę zmarłej babci. Jeszcze nie zdecydowała, co zrobić z prostym, złotym krążkiem, który Helen Majesky nosiła przez pięćdziesiąt lat małżeństwa i następne dziesięć wdowieństwa. Kiedy piekła, zawsze wrzucała obrączkę do kieszeni fartucha. Cud, że jej nie zgubiła. Wymusiła na Jenny obietnicę, że jej w niej nie pochowa. Jenny doskonale pamiętała ręce babci – mocne, gdy ugniatała ciasto, lecz lekkie i delikatne, gdy gładziła wnuczkę po policzku lub sprawdzała temperaturę, dotykając czoła. Jenny wsunęła obrączkę na palec i zacisnęła dłoń w pięść. Miała też inną obrączkę, ofiarowaną i przyjętą z wielkimi nadziejami. Nigdy jej nie założyła. Obecnie spoczywała w dolnej szufladzie, której Jenny nigdy nie otwierała. W czarnej jak aksamit godzinie zimowej nocy trudno nie zrobić bilansu strat, toteż Jenny wspomniała odejście matki, kiedy była jeszcze mała, potem śmierć dziadka i wreszcie utratę ukochanej babci.

Od jej pogrzebu minęło zaledwie kilka tygodni. Po kondolencjach, kurtuazyjnych wizytach i wyrazach współczucia, które nieco koiły żal, została w końcu sama. Miała wprowadzić przyjaciół i wspaniałych współpracowników, których traktowała niemal jak rodzinę, ale najbliższa sercu osoba, która ją wychowała i wspierała od najmłodszych lat, odeszła na zawsze.

Wbrew zwyczajom Jenny tym razem zachowała zapisany na laptopie tekst. Owinąwszy ciasniej szlafrok wokół ciała, podeszła do okna i przycisnęła nos do szyby, żeby popatrzeć na zimowy krajobraz. Warstwa śniegu łagodziła kształty i kontrasty barw. Uliczką, skapaną w stłumionym świetle stojącej pośrodku latarni, nikt w nocy nie chodził. Jenny przeżyła tu całe życie. Niezliczenie wiele razy stawała w tym samym miejscu, oczekując... no właśnie, czego? Jakiegokolwiek zmiany, początku czegoś nowego.

Westchnęła ciężko. Szyba zaparowała, śnieg padał coraz gęściej. Wielkie płaty wirowały wokół lampy. Jenny zawsze uwielbiała śnieg. Biała, puchowa kołderka przypominała jej dzieciństwo, gdy idąc z dziadkiem na sanki, przeskakiwała od jednego jego śladu do drugiego. Dziadkowie towarzyszyli jej od najmłodszych lat. Teraz, kiedy odeszli, nikt więcej jej nie zagadnie: „Pamiętasz, Jenny...?”.

Matka opuściła ją, gdy Jenny miała cztery lata. Ojca poznała pół roku temu, szczęśliwym zrzędzeniem losu. Z tego, co wiedziała, żadne z biologicznych rodziców nie dorosło do opieki nad dzieckiem,

przynajmniej nie w tym stopniu co Helen i Leo Majesky. Niespodziewanie wyrwał ją z zadumy jakiś łoskot, podskoczyła ze strachu. Uniosła głowę, nasłuchiwała przez chwilę. Doszła do wniosku, że sople lub płat śniegu spadł z dachu. Nie przypuszczała, że cisza tak dzwoni w pustym domu.

Od śmierci babci niejednokrotnie wędrowała po pokojach, pogrążona we wspomnieniach, które pragnęła zapisać. Niemal fizycznie czuła ich obecność, podobnie jak zapachy z babcinej kuchni. Jenny przez większą część życia prowadziła dziennik. Ostatnio zaczęła pisać artykuły zawierające przepisy kulinarne, wspomnienia i anegdoty do miejscowego tygodnika, „Kurier Avaloński”. Niedawno zabrakło niezawodnej konsultantki, którą zawsze mogła poprosić o korektę, zapytać o pochodzenie jakiegoś składnika czy technikę sporządzania ciasta. Od kiedy Jenny została sama, zaczęła się obawiać, że jeśli zbyt długo będzie zwlekać z pisaniem, zapomni najistotniejsze szczegóły.

Ostatnia myśl pobudziła ją do działania. Postanowiła przepisać notatki, które babcia sporządziła dawno temu na kiepskiej jakości, łamliwym papierze. Leżały od niepamiętnych czasów w puszcze w spiżarni. Zeszła na dół. Ledwie otworzyła drzwi, uderzył ją znajomy aromat mąki i przypraw. Stała na palcach i usiłowała ściągnąć z półki staroświeckie, metalowe pudełko, ale straciła równowagę. Upuściła je na podłogę. Wypadło z niego mnóstwo kartek. Jenny skwitowała wypadek słowem, jakiego za nic w świecie nie użyłaby w obecności babci.

– Wybacz, babciu – szepnęła bezgłośnie.

Stąpiła ostrożnie, żeby nie podeptać kruchych kartek. Ponieważ do starej spiżarni nie doprowadzono elektryczności, potrzebowała latarki. Znalazła wprawdzie jedną w szufladzie kredensu, lecz z zużytą baterią, a nowej nie było w domu. Ze względu na bezpieczeństwo bezcennych zapisków zrezygnowała z zapalenia świecy. Wsparta o kuchenny blat, wzniosła oczy do sufitu. Widok czujnika dymu podsunął jej proste rozwiązanie. Stała na krześle, wyjęła baterie i włożyła do latarki, po czym wróciła do spiżarni. Gdy zbierała kartki, szeleściły jak opadłe liście. Wsunęła je luźno do puszek i zaniósła do kuchni. Na odwrócenie jednej z kartek z pozaginаныmi rogami znalazła podpis: „Helenka Maciejewska”, wypisany niewprawnym dziewczęcym pismem. Wyglądało na to, że po ślubie babcia ćwiczyła go wielokrotnie, zanim zmieniła nazwisko na łatwiejsze do wymówienia dla Amerykanów. Jenny żałowała, że zbyt mało wie o przeszłości dziadków. Nie potrafiła sobie wyobrazić pierwszych lat życia młodziutkich nowożeńców na drugiej półkuli. Czy przeprowadzka do obcego kraju przerażała ich czy cieszyła? Popadali w konflikty czy lgnęli do siebie jak para rozbitków?

Jenny zacisnęła powieki. Nagły atak lęku ścisnął jej serce, wywołał skurcz żołądka. Pierwszy raz nawiedził ją w szpitalu, podczas wypełniania dokumentów po śmierci babci. Palce jej zdrętwiały, wypuściła z ręki długopis. Z trudem łapała powietrze. Pewna, że dostała zawału, poprosiła pielęgniarkę o wezwanie lekarza. Młody doktor z Tonawandy okazał jej zrozumienie i współczucie. Zbadał ją dokładnie, uspokoił, że to tylko nerwowa reakcja organizmu na wstrząs. Niestety, nie był to pierwszy i ostatni raz. Praktyczna, opanowana Jenny nie rozumiała, jak to możliwe, że od czasu do czasu bez żadnego powodu ogarnia ją koszmar, rosnący lęk, nad którym nie potrafi zapanować. Ścisnął gardło,

utrudniał oddychanie, przyspieszał bicie serca, tak że omal nie wyskoczyło z piersi.

Rozejrzała się za pigułkami, złorzecząc, że nie potrafi zwalczyć przykrego uczucia za pomocą filiżanki kawy lub bułeczki z brzoskwiniową konfiturą. Myśl o łakociach uświadomiła jej, że w Avalon istnieje jedno jedyne miejsce, gdzie o czwartej nad ranem można spotkać ludzi: piekarnia Sky River, założona w 1952 roku przez jej dziadków. Drożdżowe bułeczki Helen przysporzyły jej wiernych klientów, a placki stały się legendą. Zamawiały je restauracje i cukiernie dla turystów przybywających z Nowego Jorku, którzy chcieli spędzić lato w chłodniejszym klimacie lub podziwiać jesienne kolory liści. Jenny została teraz jedyną właścicielką piekarni.

Szybko włożyła gruby wełniany sweter i kurtkę narciarską na ciepłą bieliznę, naciągnęła wysokie kozaki. Nie odważyłaby się na jazdę samochodem, póki pługi nie oczyszczą dróg. Zresztą żeby wyjechać z garażu, musiałyby odśnieżyć podjazd, czego z całego serca nie znosiła. Piekarnia leżała niewiele ulic dalej, przy głównym placu w centrum miasta, kilka minut na piechotę od domu. Jenny miała nadzieję, że wysiłek pomoże jej pokonać lęk. Na wszelki wypadek wetknęła jednak fiolkę z lekarstwem do kieszeni, wzięła torebkę i wyszła w cichą, mroźną noc. Chmury odsłoniły niebo, śnieg przestał padać. Skrzypiał pod stopami, gdy przemierzała trasę, którą znała od dziecka. Wychowała się w piekarni, wśród smakowitych aromatów chleba i bakalii, warczenia mikserów i skrzypienia wózków.

Nad tylnym wejściem płonęła pojedyncza lampa. Jenny weszła do środka, otrzepała śnieg z butów. Zanim znalazła się w nieskazitelnie czystym pomieszczeniu przygotowawczym, zmieniła obuwie na kapcie z półki przed drzwiami.

Omiotła wzrokiem idealnie wysprzątane wnętrza. Dwudziestopięciokilogramowe worki świeżo zmielonej mąki stały pod ścianą obok beczek z miodem. Na półkach sięgających sufitu umieszczono czyściutki pojemniki z rodzynkami, orzechami, pistacjami, prosem, oliwkami i innymi dodatkami. Nierdzewne lodówki, blaty i piece odbijały światło wiszących lamp. Mocny aromat drożdży i cynamonu wypełniał powietrze. Hiphopowa piosenka z radia zagłuszała warkot miksera, co oznaczało, że Zach dziś pracuje.

– Cześć, Zach! – zawołała, wyciągając szyję w poszukiwaniu młodego pracownika.

Zach Alger wychynął z mieszalni. Pchał przed sobą wózek pełen surowego ciasta. Chodził do ostatniej klasy liceum. Pracował w piekarni od dwóch lat. Nie przeszkadzało mu wczesne wstawanie, za to z prawdziwą radością zabierał do szkoły świeże ciastka. Miał typowo nordyckie rysy: jasnoniebieskie oczy, prawie białe włosy i poważną, przystojną twarz.

– Jakież kłopoty? – spytał zamiast powitania.

– Nie mogłam spać – przyznała Jenny z zażenowaniem. – Jest tu gdzieś Laura?

– Piecze babki – odparł, pchając wózek w stronę prawie dwumetrowego kredensu.

Laura Tuttle pracowała w piekarni od trzydziestu lat, od dwudziestu pięciu jako mistrz piekarski. Znała swój fach nawet lepiej od Jenny. Twierdziła, że praca w bardzo wczesnych godzinach pozostaje w zgodzie z jej wewnętrznym rytmem biologicznym.

– Patrzcie, patrzcie, kogo my widzimy! – wykrzyknęła, mimo że nie zaszczyciła Jenny nawet jednym spojrzeniem.

– Naszła mnie ochota na łakocie – mruknęła Jenny.

Przeszła przez wahadłowe szklane drzwi do cukierni, zrobiła sobie filiżankę kawy i wzięła wczorajszą bułeczkę ze skrzynki. Z przyjemnością wróciła do pachnącej przyprawami kuchni. Ponieważ jednak słodki przysmak nie ukoił lęku, wbrew swoim zwyczajom zakasała rękawy. Zwykle nie wyrabiała ciasta. Mimo to nie brakowało jej pracy. Po całych dniach siedziała w biurze na piętrze z widokiem na rynek, ze słuchawką przy uchu i wzrokiem wbitym w monitor, godząc wymagania klientów, dostawców, restauratorów i agentów. Czasami kusiło ją jednak, by zakosztować fizycznej pracy. Stwierdziła, że nic nie uspokaja tak, jak ugniatanie ciepłego, sprężystego ciasta. Odnosiła niemal wrażenie, że dotyka żywej istoty.

Włożyła więc fartuch i dołączyła do stojącej przy blacie Laury. Do ciasta na babkę dodawano zgodnie z polską tradycją skórkę pomarańczową oraz zestaw przypraw, opracowany osobiście przez Laurę. Pracowały ramię w ramię, odważając półkilogramowe porcje, choć obydwie potrafiły na oko ocenić wagę. Po przeciwnej stronie pomieszczenia Jenny dostrzegła blachę z ciastkami babci. Helen Majesky nie wymyśliła sama przepisów na ciastka cytrynowe, tarty z owocami i „szachowe” ciasto z maślanką. Przekazywano je z pokolenia na pokolenie. Mimo to oglądając firmowe wyroby, Jenny odnosiła wrażenie, że dusza zmarłej nadal przebywa w pomieszczeniu, ponieważ to właśnie Helen odsłaniała przed młodszymi pracownikami tajniki zawodu. Formując zgrabne, okrągłe bochny, Jenny niemal zapomniała o strachu. Gdy patrzyła na własne umączone ręce, oczami wyobraźni widziała dłonie babci, ugniatające ciasto z nieskończoną cierpliwością, jakiej Jenny nigdy w sobie nie odnalazła. Od śmierci babci minęły trzy tygodnie, dwa dni i czternaście godzin. Jenny z przerażeniem uświadomiła sobie, że w dowolnej chwili umie wyliczyć niemal co do minuty, jak długo jest sama na świecie.

Laura smarowała każdą sztukę ciasta masłem i umieszczała w foremkach. Kręciła głową w rytm hiphopowej melodii. Lubiła ten rodzaj muzyki, zdaniem Jenny dlatego, że niezbyt uważnie słuchała tekstów.

– Bardzo ci jej brakuje, prawda? – zagadnęła, jakby czytała w myślach Jenny.

– Bardzo, chociaż myślałam, że jestem przygotowana na najgorsze. Prawdę mówiąc, nie radzę sobie z samotnością – przyznała szczerze. Wyprostowała plecy dla dodania sobie odwagi, ale jak zwykle nic to nie dało. Nie znalazła sposobu, by pokonać strach i przygnębienie.

Gdzieś w oddali zawyły syreny. Zawtórowało im kilka psów. Jenny odruchowo przeszła przez podwójne drzwi, żeby wyjrzeć przez okno nieoświetlonej cukierni. W tak małym miasteczku jak Avalon, w stanie Nowy Jork, każdy nietypowy dźwięk przyciągał uwagę. Ostatnio słyszała podobny sygnał, gdy wezwała pogotowie. Ponieważ ratownicy nie pozwolili jej jechać karetką, dotarła do szpitala samochodem. Błagała babcię, żeby anulowała zakaz podłączania do podtrzymującej życie aparatury, ale Helen Majesky odmówiła. Jenny nie pozostało więc nic innego, jak pożegnać ją na zawsze.

Teraz dokładała wszelkich starań, by przepędzić smutek. Widząc jej wprawne ruchy wyćwiczone pod okiem babci, postronny obserwator uznałby ją za osobę spokojną i opanowaną, podczas gdy w rzeczywistości była kłębkim nerwów.

– Wyjdę zaczerpnąć świeżego powietrza – poinformowała Laureę.

– Może zobaczysz amanta.

Miała na myśli szefa miejscowej policji, Rourke'a McKnighta, znanego łamacza serc. Jak w każdym małym miasteczku, w Avalon wszyscy znali zwyczaje sąsiadów. Rourke co rano wpadał do cukierni na kawę, podczas gdy Jenny pracowała w biurze na piętrze. Jenny starannie unikała jakichkolwiek rozmów na jego temat. Niegdyś był jej bardzo bliski, lecz od lat nie zamienili ze sobą słowa. Prawdę mówiąc, obydwójce robili wszystko, by ich drogi się nie skrzyżowały, co wymagało od Jenny sporo wysiłku.

Rourke jak każdy oficer policji spędzał większość czasu w komisariacie. Ponieważ z powodu skąpstwa władz miejskich otrzymywał żenująco niską pensję, nawet jak na standardy małego miasteczka, dorabiał na patrolach po godzinach i w wolne dni. Zimą jeździł nawet pługiem śnieżnym. Jenny udawała, że jego tryb życia jej nie interesuje. Rourke również rozmyślnie ją ignorował. Przesłał wprawdzie na pogrzeb Helen wiązanek wielkości volkswagena, lecz dołączył do niej jedynie kartkę ze zwyczajowymi wyrazami współczucia.

Jenny przerwała wyrabianie ciasta, narzuciła kurtkę i wyszła z piekarni tylnymi drzwiami. Skronie jej pulsowały, czuła ucisk w piersiach i mrowienie w kręgosłupie. Mimo mrozu oblał ją zimny pot, na obrzeżach pola widzenia migotała świetlista aura. Wciągnęła w płuca mroźne powietrze, żeby powstrzymać atak nerwowy, ale zaraz je wypuściła, kiedy poczuła gryzący dym papierosów.

– Nałóg cię zabije, Zach! – upomniała młodego pracownika, opartego o ścianę.

Zach zignorował uwagę. Najspokojniej w świecie strzepnął popiół. Jenny przełknęła ślinę. Denerwowało ją, że młodzież lekkomyślnie rujnuje swoje zdrowie. Jej dziadek wprawdzie palił robione własnoręcznie skręty, ale w tamtych czasach nie zdawano sobie sprawy z zagrożenia. Jenny zgarnęła garść śniegu i rzuciła nim prosto w żar na końcu papierosa.

– No nie!

– Podobno rzucając palenie, można zaoszczędzić pięć dolarów dziennie. Słyszałam, że regularnie otrzymujesz świadectwa z wyróżnieniem. Nie rozumiem, czemu tak inteligentnemu chłopcu brakuje rozsądku w sprawach zdrowia – pouczyła młodzieńca, z trudem dobywając głosu ze ściśniętego gardła.

– Gdybyś pogadała z moim ojcem, uświadomiłby cię, jaki ze mnie dureń i fajtłapa. Żąda, żebym po skończeniu szkoły przepracował cały rok na torze wyścigowym w Saratodze.

– Żeby zarobić na pierwszy rok studiów?

– Gdzie tam na pierwszy! Na całe. Raz po raz częstuje mnie opowieściami, jak zdobył wykształcenie bez żadnego wsparcia, urabiając sobie ręce po łokcie – odparł Zach bez cienia uznania.

Matthew Alger, skarbnik Rady Miasta, wykazywał chorobliwe skąpstwo nie tylko przy planowaniu miejskiego budżetu, lecz również w życiu codziennym. Świadczyły o tym żenująco niskie napiwki, jakie

zostawiał personelowi cukierni. Jenny, która dorastała bez ojca, boleśnie odczuwała jego brak. Jednak gdy analizowała stosunek Algera do syna, dochodziła do wniosku, że chyba przecenia rolę ojca w życiu dziecka. Zach nigdy nie wspominał o matce, która po rozwodzie ponownie wyszła za mąż i przeprowadziła się do Seattle przed wielu laty. W ogóle niewiele mówił o sobie. Teraz jednak najwyraźniej miał ochotę chwilę porozmawiać.

– A ty czego pragniesz? – zagadnęła Jenny ostrożnie.

– Wyjechać stąd jak najdalej – odparł, wyraźnie zaskoczony, jakby od dawna nikt nie pytał o jego marzenia.

– Więc zrób to – poradziła z pełnym przekonaniem. Doskonale pamiętała, że w jego wieku także marzyła o rozpoczęciu innego, wspaniałego życia gdzieś daleko stąd.

– Pomyślę o tym, ale na razie pora wracać do pracy.

Jenny pozostała na zewnątrz. Rozdmuchała wiszący w powietrzu dym. Pogawędka z młodym pracownikiem na chwilę odwróciła jej uwagę od lęku, ale go nie uśmierzyła. Gdy została sama, znów zaczął narastać. Złowróżbne wycie syreny jeszcze go potęgowało. Słyszała je coraz głośniej, z coraz bliższej odległości. Odnosiła wrażenie, że rozgwieżdżone niebo zaraz spadnie jej na głowę. W końcu zrezygnowała z walki o odzyskanie równowagi. Wyciągnęła z kieszeni brązową fiolkę i połknęła bez popijania małą pastylkę, choć lekarz ostrzegł ją, że lekarstwo silnie uzależnia, a kuracja odwykowa trwa długo i niesie ze sobą większe cierpienia niż stany lękowe. Wkrótce przykre dolegliwości minęły, a serce i oddech odzyskały normalny rytm.

Jenny przeniosła wzrok na panoramę miasta. Wolą nie uświadamiać Zacha, że życie płała paskudne figle, rujnuje najświetniejsze plany. Patrzyła na stare budynki z cegły, mieszczące sklepy, urzędy i restauracje. Gdyby ktoś jej przed laty powiedział, że zostanie w sennym Avalon po dojściu do pełnoletności, wyśmiałaby go. Głęboko wierzyła, że gdy dorośnie, wyruszy do wielkiego miasta, by zdobyć wykształcenie, a potem zrobi światową karierę. Była święcie przekonana, że czeka ją świetlana przyszłość. Niestety, w wieku osiemnastu lat poznała niedoskonałości systemu opieki zdrowotnej, w wieku dwudziestu jeden przeżyła bankructwo rodzinnej firmy. Ledwie zachowały dom przy Maple Street. Nie mogła opuścić owdowiałej, zubożałej babci.

Jenny odetchnęła z ulgą. Mimo że przywołała smutne wspomnienia, lęk minął bezpowrotnie. Wzięła głęboki oddech, następnie powoli wypuściła powietrze, obserwując obłoczek pary, póki nie rozproszył się w mroku nocy. Nagle dostrzegła dziwną łunę nad Maple Street, w okolicy swego domu. Zamrugnęła w przekonaniu, że po ataku nerwowym dostała omamów wzrokowych. Jeszcze nie przywykła do nietypowych reakcji swego organizmu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Rourke McKnight usłyszał w radiowozie sygnał alarmowy, serce w nim zamarło. Wzywano go z drugiego końca miasta na Maple Street 472 – do domu Jenny. Zawrócił w miejscu z piskiem opon. O mało nie wpadł w poślizg. Mimo zdenerwowania zameldował zadziwiająco spokojnym tonem, że odebrał polecenie i przystąpił do jego wykonywania. Odczytał jeszcze na monitorze wiadomość, że dom Jenny stoi w ogniu, a właścicielki nie odnaleziono. Kiedy dotarł na miejsce, płomienie buchały ze wszystkich okien i drzwi. Obejmowały nawet poddasze. Nie zważając, że zaparkował w zaspie, wysiadł z auta. Natychmiast pospieszył na miejsce zdarzenia. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć drzwi auta. Skąpani w pomarańczowym blasku strażacy z trudem ciągnęli węże po śniegu. Akcja przebiegała spokojnie, bez śladu paniki, mimo że budynek w każdej chwili groził zawaleniem, a ściana ognia uniemożliwiała wejście do środka nawet w ubraniu ochronnym. Rourke dopadł do najbliższego strażaka, który składał meldunek przez nadajnik radiowy.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Nie odnaleziono właścicielki. Chyba przebywa poza domem... tyle że jej samochód pozostał w garażu – dodał, zerkając kątem oka na nadjeżdżający ambulans.

Rourke ruszył w stronę domu płonącego jak stóg słomy. Akurat w tym momencie szyba popękała pod wpływem gorąca. Rourke odruchowo osłonił ręką oczy przed spadającymi odłamkami szkła. Raz i drugi wykrzyknął imię Jenny. Bez odzewu. Teraz z całego serca żałował, że uciekał od niej przez lata. Przysięgł sobie, że jeśli zostanie ją przy życiu, będzie ją chronił aż do śmierci przed wszelkimi niebezpieczeństwami i nigdy nie poprosi Boga czy też losu o nic więcej. Ponieważ frontowe schody spłonęły, obiegł budynek dookoła, z trudem zachowując równowagę na śliskim gruncie. Co najmniej kilka osób usiłowało go powstrzymać, ale nie słuchał ostrzeżeń. Tył domu również ogarnęły płomienie. Na szczęście droga do środka stała otworem, ponieważ strażacy rozbili drzwi siekierą. Zasłonił nos i usta kołnierzem kurtki i wszedł. Zdawał sobie sprawę, co ryzykuje, ale robił już w życiu głupsze rzeczy.

Bywał w tej kuchni wielokrotnie. Mimo zniszczenia rozpoznawał znajome sprzęty. Usiłował zawołać Jenny, lecz zabrakło mu powietrza. Rozgrzane, wyrzuczone linoleum topniało pod stopami. Klatka schodowa stała w ogniu, jednak zdecydowanym krokiem ruszył w tamtą stronę. Nagle ktoś zatrzymał go w pół kroku, chwytając mocno za ramię. Podczas gdy Rourke usiłował strząsnąć obcą dłoń, coś z łoskotem spadło na dół – prawdopodobnie poręcz schodów. Zastępca komendanta straży pożarnej popchnął go w kierunku wyjścia.

– Co pan tu robi, szefie? Trzeba uciekać. Zaraz się wszystko zawali.

Rourke wciągnął w płuca rozpalone powietrze, zakasłał.

– Nonsens! Skoro nikogo tu nie przystaliście, pójdę sam.

– Nie wpuszczę pana.

– Z drogi! – warknął Rourke w nagłym przypiływie gniewu, jednym ruchem odpychając strażaka, tak że tamten o mało nie upadł na ziemię.

– Niech pan nie ryzykuje! Nie przeżyje pan nawet pół minuty! Przypuszczamy, że właścicielki nie ma w domu. Prawdopodobnie zdążyła uciec.

Widząc rozszerzone z przerażenia oczy strażaka za ochronną szybą kasku, Rourke rozluźnił pięści. Palił go wstyd, że w przypiływie nieuzasadnionej złości omal nie pobił niewinnego człowieka. Gdy chodziło o Jenny, nigdy nie myślał racjonalnie. Usiłował odgadnąć, gdzie ona przebywa. Może u swojej przyjaciółki Niny? Nie, raczej nie poszła w gości w środku nocy. U Olivii Bellamy? Chyba też nie. Mimo pokrewieństwa nie łączyła ich zbyt bliska więź. A jeśli u mężczyzny, jak to możliwe, że o tym nie wiedział? Nagle doznał olśnienia. Wściekły, że tak późno wpadł na właściwe rozwiązanie, zaklął pod nosem i wsiadł do auta.

Jenny nadal stała przed piekarnią, oczekując świtu, gdy dostrzegła biało-niebieskie błyski na tle nocnego nieba. Z początku nie odgadła ich pochodzenia. Dopiero wycie syreny uprzytomniło jej, że nadjeżdża radiowóz. Nie dociekając przyczyny nagłej mobilizacji służb ratowniczych, wróciła do kuchni. Zach właśnie wywoził kolejną porcję surowego ciasta z cieplarki. Jenny zamierzała od nowa przystąpić do pracy, gdy usłyszała walenie w drzwi frontowe. Ruszyła przez pogrążoną w ciemnościach cukiernię, oświetloną jedynie neonem w kształcie parującej filiżanki, by sprawdzić, kto składa im niespodziewaną wizytę. Już przez okno dostrzegła niebieskie błyski świateł radiowozu. Ledwie odsunęła zasuwę, Rourke McKnight wpadł jak burza do środka w targanym wiatrem długim zimowym płaszczu. Szef miejscowej policji miał doskonałą prezencję: gładko wygolona twarz, szerokie ramiona, jasne włosy i niebieskie oczy. Gdyby nie blizna w kształcie rogalika na kości policzkowej, byłby niemal zbyt ładny jak na mężczyznę.

– Przypuszczam, że nie wpadłeś na kawę – zagadnęła Jenny zamiast powitania. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do niego od lat.

Rourke posłał jej tak zniewalające spojrzenie, że pozazdrościła dziewczynom, które z równą łatwością zdobywał, jak porzucał. Złapał ją za ramię i gwałtownie przyciągnął do siebie.

– Dobrze, że cię tu zastałem – powiedział schrypniętym z emocji głosem.

– Nie mogłam zasnąć – wyjaśniła.

Nie rozumiała, czym sobie zasłużyła na to nagłe zainteresowanie. Szkoda, że wcześniej nie poznała sposobu, żeby je wzbudzić. Ze zdumieniem popatrzyła na silną dłoń na jej ramieniu. Rourke nie dotknął jej od niepamiętnych czasów, od chwili... kiedy zaczął jej unikać. Opuścił ręce, jakby czytał w jej myślach. Wskazał drzwi.

– W twoim domu wybuchł pożar. Podwiozę cię – zaproponował.

Mimo oszołomienia po zażyciu tabletki te słowa natychmiast dotarły do świadomości Jenny. Otworzyła usta, ale nie była w stanie mówić. Laura podała jej buty i płaszcz. Jenny wsiadła do radiowozu.

Zaskoczona, że lekarstwo nie przeszkadza jej logicznie myśleć, spytała, kto wezwał policję i straż. Rourke wyjaśnił, że pani Samuelson, która od lat mieszkała po sąsiedzku. Kazał jej zapiąć pasy i włączyć silnik.

– Nie wierzę własnym uszom – wymamrotała Jenny. – Na pewno mój dom płonie? Może pomyliła numery?

– Niestety nie. Widziałem na własne oczy. Bóg mi świadkiem, myślałem... – zaczął drżącym głosem, lecz nagle zamilkł w pół zdania.

– Że nie zdążyłam uciec – dokończyła za niego.

– Nic dziwnego. Mało kto spaceruje po nocy.

Jenny w mgnieniu oka zrozumiała, dlaczego ucieszył się, gdy ją zobaczył. Ucieszył się, że widzi ją żywą. Wyobraziła sobie, jak ciężką batalię musiał stoczyć ze strażakami, żeby wpuścili go do płonącego domu. Mimo że jeszcze nie dotarli na Maple Street, w samochodzie pachniało spalenizną.

– Czuć tu dymem – stwierdziła. – Wszedłeś do środka, żeby mnie odnaleźć.

Rourke nie odpowiedział. Nie musiał. Słyszał z odwagi w całym mieście. Zawsze spieszył potrzebującym z pomocą, nie zważając na własne bezpieczeństwo.

– Nie zostawiłaś przypadkiem włączonego pieca czy innego urządzenia? – zapytał.

– Oczywiście, że nie – odburknęła z urazą.

Odkąd została sama, przed wyjściem wielokrotnie sprawdzała, czy wszystko wyłączyła. Obawiała się nawet, że zaczyna dziwaczyć, że skończy jak samotna sąsiadka, która przygarnęła niezliczoną liczbę kotów i opowiadała każdemu w kółko te same historyjki z dzieciństwa.

– Jak się czujesz? – wyrwał ją z zadumy głos Rourke'a.

Nie od razu wróciła do rzeczywistości.

– Jak mogę się czuć, gdy mój rodzinny dom płonie? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem. Czy wyglądam na zdenerwowaną twoją obecnością?

– Nie. Zaimponował mi twój spokój, ale jeszcze nie dotarliśmy na miejsce. Strażacy twierdzą, że ogień objął całą konstrukcję budynku. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

– Nie. – Zamierzała jeszcze coś dodać, ale gdy skręcili za róg, serce zaczęło jej walić jak młotem. Ulica była zablokowana, pełna wozów strażackich. – O Boże! – jęknęła.

W ciemnościach migotały odblaskowe światła trójkątów ostrzegawczych. Sąsiedzi stali w bramach w płaszczach narzuconych na pizamy. Patrzyli w ogień rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jakby obserwowali pokaz fajerwerków czwartego lipca, tyle że nikt się nie uśmiechał, nikt nie wydawał okrzyków zachwyty. Strażacy w ubraniach ochronnych dzielnie walczyli z ogniem, który objął oba piętra budynku. Rourke zatrzymał samochód. Wysiedli oboje.

W oknach korytarza na pierwszym piętrze nie pozostała ani jedna szyba. Wyglądały jak po ostrzale artyleryjskim. Zanimi, na ścianie, do wczoraj wisały rodzinne pamiątki: staromodna fotografia ślubna

dziadków, zdjęcia Jenny z kolejnych lat szkolnych, wreszcie portret matki Jenny, Mariski. Sfotografowano ją, gdy miała dwadzieścia trzy lata, w tym samym roku, w którym opuściła rodzinny dom. Jako dziecko Jenny uwielbiała biegać w tę i z powrotem po korytarzu, póki babcia jej nie upomniała. Podobało jej się świszczące „ciiiii”, którym nakazywała jej spokój. Z lubością naśladowała niezwykle dźwięk. Lubiła też wymyślać historyjki o ludziach, których przedstawiały fotografie. W jej bajce wpatrzeni w kamerę z typową dla świeżych imigrantów powagą dziadkowie zostali gwiazdami na Broadwayu. Wielkooka matka o tajemniczym spojrzeniu pracowała dla rządu jako szpieg. Ponieważ od wyników jej pracy zależało zachowanie pokoju na świecie, nie mogła wyjawiać nawet najbliższemu miejscu swego pobytu.

Jeden ze strażaków krzyknął do kogoś, żeby stanął w bezpiecznej odległości, podczas gdy inni w pośpiechu taszczyli wzdłuż podjazdu gruby, ciężki wąż. Jeszcze inny polewał dach z rozsuwanej drabiny. Pani Samuelson, która wezwała straż, podeszła do Jenny. Miała na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny i niezasnurowane botki.

– Podziękuj Bogu za ocalenie, Jenny – zagadnęła. – Gdy zobaczyłam ogień, myślałam, że zginęłam w płomieniach.

– Wyszłam do piekarni.

– Czy składała pani zeznania? – wtrącił Rourke.

– Tak, ale...

– W takim razie przepraszamy na chwilę – powiedział i odciągnął Jenny na bok.

Starszy mężczyzna wydawał polecenia przez krótkofalówkę, inny powtarzał je głośno przez megafon, przekrzykując ryk silników. Rourke przedstawił Jenny komendantowi straży, który złożył jej wyrazy współczucia.

– Dotarliśmy na miejsce osiem minut po przyjęciu zgłoszenia, ale wygląda na to, że zbyt późno dostrzeżono pożar – dodał. – Stare domy płoną w mgnieniu oka. Robimy, co w naszej mocy.

Jenny podziękowała niepewnie. Nie wiedziała, co powiedzieć w obliczu utraty dorobku pokoleń.

– Sąsiedzi twierdzą, że nie trzymała pani w domu zwierząt.

Jenny potwierdziła. Hodowała tylko fiołki afrykańskie po babci i trochę ziół w doniczkach. Mimo ciepłych ubrań i bijącego od ognia żaru drżała na całym ciele. Nagle poczuła ciężar na ramionach. Ktoś okrył ją kocem ratowniczym. Rourke McKnight. Stanął za nią, objął ją od tyłu ramionami, jakby chciał otoczyć ochronnym kokonem. Bezwładnie oparła się o niego, zbyt słaba, żeby stać o własnych siłach. Smród dymu drażnił nozdrza, gorąco buchało w twarz, dostała mdłości. Zaciśnęła powieki. Ujrzała oczami wyobraźni zrujnowane wnętrza, więc natychmiast je otworzyła. Spojrzała na Rourke'a.

– Wszystko stracone – jęknęła.

– Bardzo mi przykro, Jenny. Żałuję, że nie mogłem powiedzieć, że nastąpiła pomyłka.

Człowiek z aparatem fotograficznym, prawdopodobnie reporter, stał na dachu furgonetki z długim obiektywem wycelowanym w płonący dom.

– Co dalej? – spytała Jenny bezradnie.

– Czekaj cię przesłuchanie, potem śledztwo w celu ustalenia przyczyny pożaru, następnie wypełnianie dokumentów ubezpieczeniowych.

– Nie o to pytam. Co robić przez następne dwadzieścia minut, godzinę, najbliższe dni? Czy mam wrócić do piekarni i spać pod biurkiem?

Rourke pochylił się i zbliżył usta do jej ucha, tak by mimo hałasu słyszała każde słowo.

– Nie martw się. Zaopiekuję się tobą.

Oczywiście mu uwierzyła. Musiała. Znała go dłużej niż połowę życia. Mimo skomplikowanych wzajemnych relacji i bólu, który sobie nawzajem zadali, Jenny zawsze wiedziała, że może na nim polegać.

Tytuł oryginału:
The Winter Lodge

Pierwsze wydanie:
MIRA Books S.A., 2007

Opracowanie redakcyjne:
Małgorzata Pogoda

Korekta:
Bronisława Dziejic-Wesołowska

© 2007 by Susan Wiggs

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2009, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9969-3

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).